

Nazywam się Józef Kruk.

Dzisiaj mam już prawie 73 lata. Urodziłem się w 1918 roku w Krężnicy Jarej w rodzinie chłopskiej. Rodzina była dosyć liczna w tym, że kiedy ja doszedłem do świadomości (osiągnąłem pełnoletność), o troje rodzeństwa było mniej. Wszystkich nas było ośmioro. Dwoje rodzeństwa zmarło w wieku niemowlęcym. Jeden brat Antoni zginął podczas walk w 1920 r. koło Lidy, już pod koniec wojny polsko-bolszewickiej. Pozostało nas jeszcze pięcioro. Ja byłem najmłodszy ze wszystkich. Miałem trzy siostry i jednego brata.

Rodzice byli ludźmi wierzącymi i to chyba głęboko. Ojciec, jeśli chodzi o przekonania polityczne, był z kręgu tych, którzy byli przeciwnikami Marszałka Piłsudskiego. Kiedy dorastałem nie bardzo zgadzałem się z ojcem, ale szanowałem jego przekonania i na ten temat właściwie rozmów prawie nie prowadziliśmy. Moje dzieciństwo upływało w wiosce rodzinnej, gdzie chodziłem do szkoły podstawowej. Miałem dwa i pół kilometra do niej. Ale były to czasy, kiedy szkoły wiejskie były jeszcze o niewielu klasach, nasza szkoła miała tylko pięć klas. Trzeba było chodzić do końca okresu, który podlegał obowiązkowi nauczania. A więc dwa ostatnie klasy z konieczności musiałem powtarzać.

Kiedy skończyłem szkołę podstawową dalej uzupełniać swoje wykształcenie chciałem. Zacząłem korespondencyjnie dokształcać się, przygotowując się do egzaminu z klasy szóstej i siódmej. Egzamin złożyłem w 1935 r. Kuratorium skierowało mnie na egzamin do Wólki Lubelskiej. Po otrzymaniu świadectwa z ukończenia szkoły podstawowej (wówczas siedmio-klasowej) przez pewne znajomości, a nie było to łatwe, dostałem się do szkoły budowlanej (Średnia Szkoła Budownictwa w Lublinie na ulicy Długosza).

Trzy lata chodziłem przed wojną do tej szkoły na wydział lądowy, Budownictwo Kolei i Mostów. Kończyłem już w czasie wojny, kiedy

Niemcy pozwolili na kontynuowanie nauki w szkołach zawodowych. Jednak po otrzymaniu dyplomu z ukończenia tej szkoły nie poszedłem do pracy, bo Niemcy rzecz jasna, chcieli nas wykorzystać. Jednak udało mi się jakoś wykręcić, wróciłem do domu i przebywałem dalszą część okupacji w domu.

Zanim skończyłem i złożyłem tą tak zwaną maturę w szkole zawodowej to już była okupacja. Zaczęliśmy myśleć wraz z innymi kolegami jakby się było można przeciwstawić, jak pokierować swoim życiem w warunkach okupacji. I nawiązaliśmy kontakty między sobą i z innymi kolegami młodszymi i starszymi. Słuchaliśmy radia już w 1940 r. ^{Na początku} ~~Pod koniec~~ 40- tego r. z jednym z naszych kolegów, który już przed wojną złożył maturę w Gimnazjum Zamojskiego, z Krzysztofem Golińskim, nawiązaliśmy kontakty. Po pewnym czasie doszło do złożenia przysięgi w ZWZ.

Odkąd ZWZ przekształciło się w AK coraz więcej kolegów wstępowało do naszego kręgu zwerbowani przez nas, składali przysięgę. Na początku prowadziliśmy działalność informacyjną, a więc biuletyny, słuchanie radia, rozpowszechnianie wiadomości z zagranicy w kręgach tych osób, co do których byliśmy pewni. Potem nasza grupa coraz bardziej myślała o pewnym czynie, który mieliśmy nadzieję doprowadzić do czynu zbrojnego. Nastąpiło wyszukiwanie, gromadzenie broni oraz jej magazynowanie po konserwacji, masek gazowych oraz wszelkich innych części uzbrojenia wojskowego pozostałego po 1939 r.

^{W okresie działalności konspiracyjnej}
~~Tak trwało do lat 1943-1944.~~ Kilka razy braliśmy udział w drobnych akcjach. Polegało to na ubezpieczaniu pewnych oddziałów, które przeprowadzały akcje w okolicach Bełżyc, Krężnicy, Lublina. Braliśmy udział między innymi w likwidowaniu osłony niemieckiej na stacji kolejowej Zemborzyce. Nie pamiętam dokładnie, w którym to było roku, w każdym bądź razie Niemcy bez

strzału od ali broń. Było ich niewiele.

W międzyczasie przechodziliśmy przeszkolenie. Przyjeżdżał do nas z Lublina, nie pamiętam już pseudonimu, pewien wojskowy i w lasach, które były w pobliżu ponad rzeką przepływającą^{dalej} przez Lublin, mieliśmy ćwiczenia nawet i w dzień. Była to tak zwana podchorążówka.

W czerwcu 1944 r. , kiedy Armia Radziecka przekroczyła Bug komendant naszej placówki w Krężnicy, Krzysztof Goliński, syn organisty, mający pseudonim ^{"Mir-Jarcki"} ~~"Ipiarski"~~ wraz z dwoma kolegami z naszej placówki udał się nocą, z 6-ego na 7-ego czerwca wokolice Bychawy celem przewiezienia pewnych dokumentów. Był to spis imiennych z pseudonimami wszystkich należących do placówki Krężnickiej. Nad ranem 7 czerwca zupełnie niespodziewanie natknęli się na ubezpieczenie niemieckie, które nie miało właściwie celów zbrojnych, a podobno transportowało większą ilość bydła. Nasi koledzy, kiedy już się spostrzegli, zaczęli się wycofywać. Ale było już za późno. Niemcy zaczęli na nich nacierać. Zginęło wtedy dwóch. Komendant ^{"Mir-Jarcki"} ~~"Ipiarski"~~. Drugim był Stanisław Fus, ~~nie pamiętam jego pseudonima~~ ^{"Słonecznik"}. Był to jeszcze bardzo młody chłopiec. Trzeci został postrzelony i udało mu się wycofać. Obydwu zabitych pochowano na cmentarzu w Krężnicy.

Już nie długo, bo ^{22 lipca} ~~w nie cały miesiąc później~~, wojska sowieckie wkroczyły do Lublina. Przygnieceni wydarzeniem śmierci naszego komendanta, obawiając się represji ze strony Niemców zakończyliśmy naszą działalność,

Od wielu miesięcy w końcowej części okupacji przygotowywałem się trochę sam, trochę pomagał mi proboszcz w Krężnicy, ksiądz Józef Frankowski do złożenia małej matury we wrześniu 1944 r.. Z małą maturą w październiku 1944 r. zgłosiłem się do ks. rektora lubelskiego Seminarium Duchownego. Od kółku miesięcy mieściło się ono w Krężnicy, w mojej rodzinnej miejscowości, w domu

siostr Szarytek. Gmach Seminarium Duchownego w Lublinie ^{Niemcy} zajęli na szpital, kiedy wybuchła wojna radziecko-niemiecka. Dopiero pod koniec okupacji pozwolili na otwarcie tego seminarium. Nie tylko ja jeden byłem w seminarium po małej maturze. Takich było więcej, którym wojna nie pozwoliła zdobyć dużej matury i ze świadectwem małej matury zostaliśmy warunkowo przyjęci do Seminarium Duchownego. Wyznaczono nam czas na złożenie dużej matury i dostarczenie jej świadectwa. Ja niestety już w tym czasie, kiedy koledzy składali świadectwa nie mogłem go dostarczyć.

Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Wprawdzie od października do grudnia jakby zapomniałem o tym co się w świecie dzieje, o tym co na froncie i jak sobie poczynają nowe władze radzieckie. Byliśmy zajęci swoimi sprawami. Tak było do 8 grudnia 1944 r.. W tym to dniu przed godziną 20-tą, kiedy to normalnie według regulaminu seminaryjnego zbieraliśmy się na wieczorne modlitwy, ówczesny profesor i jednocześnie ekonom seminarium, późniejszy biskup częstochowski, ks. dr Zdzisław Goliński wywołał mnie z kaplicy do ks. rektora, mówiąc, że ktoś tam po mnie przyszedł. U ks. rektora zastałem chyba dwóch nkwdzistów, którzy prosili ks. rektora, ażeby pozwolił mi na udanie się z nimi na takie, jak oni powiedzieli, "prewierkę"- śledztwo, przebadanie do komendanta wojskowego. Rzecz jasna, że ks. rektor ^domówić nie mógł. ~~Kiedy wychodziłem~~ ^{Przed wyjściem} z gmachu seminarium ~~to~~ poprosiłem ich, o zabranie czegoś ze sobą na drogę, bo jednak miałem przecucie że to nie będzie, tak jak oni powiedzieli, na trzy godziny. Okazało się, że to były trzy lata. Wpadłem, za pozwoleniem swoich nowych opiekunów do sali, gdzie mieszkałem wraz z innymi. Wziąłem podręczne rzeczy, trochę ciepłej bielizny, jesionkę, książkę do modlitwy, różaniec. Jeszcze przemknęło mi przez myśl, ponieważ drzwi za sobą zamknąłem, żeby wyskoczyć przez okno.

noc ciemno, późna jesień, ale w porę zreflektowałem się, że jednak jeżeli oni z takimi zamiarami przybyli to jest także obstawa. Próba ucieczki nie miała najmniejszego sensu.

Wyprowadzono mnie na zewnątrz. Było zupełnie ciemno. Kiedy wsiadaliśmy do czekającego na nas wozu to z zza tego domu widziałem wyłaniające się postacie tych, którzy ubezpieczali. Dojechaliśmy do mojej miejscowości, dwa i pół kilometra od wsi. I o dziwo zajeżdżamy (nawet o tym nie wiedziałem, że tam na kwaterze był komendant wojenny) do mojej rodzonej siostry, która mieszkała o trzysta metrów od mojego domu. Do późna w nocy odbywało się tam przesłuchanie. Nie pamiętam o co mnie pytano. W każdym razie o to, co powtarzało się na innych ^{późniejszych} przesłuchaniach, to jest o przynależność do grupy dywersyjnej, a najważniejsze z pytań brzmiało "skolka ty naszych bojcow ubił?". Co do wszystkich zarzutów, poza przynależnością do AK, zaprzeczałem.

Przez całą noc pozostawiono mnie w komórcie (taka komórka bez drzwi). W drzwiach przy futrynie przez całą noc siedział jeden z żołnierzy. Rano podjechał samochód ciężarowy. Po wejściu na platformę kazali mi się położyć. ~~Tak dojechałem do Lublina.~~ Przejżdżając koło naszego domu chciałem się trochę podnieść, by spojrzeć na rodzinne obejście, ale siedzący na obrzeżach burty przytłoczyli moją głowę do podłogi, nie pozwalając mi się w ogóle podnieść. Tak dojechałem do Lublina

Przywieźli mnie do Lublina na ulicę Krakowskie Przedmieście 47, gdzie w piwnicy tak zwanego wówczas Resortu Bezpieczeństwa umieszczono mnie, jak się okazało, jako jednego z pierwszych. Pamiętam pierwszą noc. Sam jeden w dużej celi chociaż były prycze i dla innych. Sen jaki miałem tej nocy był wróżebny. Przyśniła mi się ogromna wesz, która zbliżała się ku mnie zacząłem krzyczeć przez sen. Okazało się wkrótce, że wszy były moimi nieodłącznymi towarzyszami niedoli.

Ode w piwnicy szybko się zapiekniały. przywożono codziennie i umieszczano po kilku w każdej celi. Nasilenie nastąpiło w dniach Bożego Narodzenia 1944 r.. Zwłaszcza w drugi dzień świąt. Zatłoczono wtedy wszystkie piwnice. Było tak ciasno, że nie było gdzie się położyć. W czasie pobytu odbywały się badania (śledstwa). W ich zwyczaju (Rosjan) było przeprowadzać je najczęściej nocą. Pytania były stereotypowe i zawsze wmawiano nam, że jesteśmy wrogami Związku Radzieckiego, że walczyliśmy z partyzantami radzieckimi, że w walce zginęło wielu ich dzielnych ludzi.

Jeżeli chodzi o mnie to pamiętam, że raz obeszli się ze mną ostrzeżenie Nie znanej mi rangi oficer w obecności porucznika polskiego, który tylko słuchał, przeprowadzał śledztwo i kiedy je tylko zakończył kazał mi podpisać zeznanie. Sekretarka, która tam była pisała po polsku, bo ja rosyjskiego nie znałem. Po przeczytaniu zeznań odmówiłem ich podpisania, gdyż to, co było tam napisane, nie odpowiadało prawdzie. Na co śledczy się obruszył i udeżył mnie ręką w twarz potem kolbą pistoletu w pierś. Zachwiałem się i upadłem na podłogę. Wtedy kazał mi zrobić przy ścianie łabkę z rękami podniesionymi do góry. Wtenczas odezwał się porucznik, który ^{zwrócił uwagę} ~~zauważył~~, że na śledztwie wolno wywierać presji. Było to nie-zgodne z przepisami. Wtedy śledczy zaklął i wyszedł, a porucznik kazał mi wstać. Śledztwo zakończyło się bez podpisania protokołu.

Z tych badań utkwił mi w pamięci taki szczegół. Miałem dłuższą rozmowę z człowiekiem podającym się za prokuratora. Okazało się, że był pracownikiem administracji jednego spod lubelskich majątków (nie pamiętam ani nazwy majątku ani też jego nazwiska). Rozmowa trwała kilka godzin nocnych i to na tematy ideologiczne. Obydwaj nawzajem staraliśmy się przekonać jeden drugiego do swoich poglądów. Rozchodząc się każdy z nas pozostał przy swoim stanowisku. Z tego przesłuchania nie było protokołu. Przyznam, że ten jeden raz wraca-

łem zadowolony z przesłuchania. Ale niektórzy wracali z przesłuchania pobici, posiniaczeni. Pamiętam jednego. Nazywał się Władysław Siuciak. Był jednym z najstarszych chociaż nie najstarszy. Później dowiedziałem się, że ma lat 40. On kilkakrotnie wracał pobity. Takich najczęściej wsadzano do tak zwanej węglarki czyli do pomieszczenia bez światła, gdzie na węglu skazaniec siedział od kilku godzin do kilku dni,

18 stycznia (do tej pory nie było żadnych wieści znikąd) dostarczono nam gazetę z wiadomością, że ^{poprzedniego} ~~tego~~ dnia wyzwolono Warszawę. A co z nami? Nie mieliśmy żadnych kontaktów z nikim z zewnątrz. Brało się to stąd, że nasi najbliżsi nie wiedzieli co się z nami stało. Dopiero po wielu tygodniach, przez jedną sprzątaczkę, która przechodziła z zewnątrz podałem gryps i tak się złożyło, że ona dostarczyła go mojej rodzinie. Dopiero teraz zacząłem otrzymywać paczki. Również i inni zaczęli je otrzymywać. Paczki były otwarte i sprawdzane. Nie wszystko docierało do naszych rąk. W poszczególnych salach panowała solidarność. Jeżeli paczka docierała dziękiliśmy się na ogół ze wszystkimi. Posiłki, które nam tu dawano były skromne. Dawano nam je trzy razy dziennie z tym, że rano i wieczorem kawę i chleb, a na obiad kaszę albo zupę z liści kapusty.

W Boże Narodzenie mieliśmy opłatki, które przysłano nam z domu i śpiewaliśmy kolędy chociaż pilnujący stukali w drzwi i uciszali. Po wyzwoleniu Warszawy spostrzegliśmy większy ruch, zwłaszcza 2 stycznia rana wywoływano i wyprowadzano z poszczególnych cel. Potem na podwórzu rozlegał się warkot silników samochodowych i odjazd, a potem znowu od nowa. Domyślaliśmy się, że to wywózka ale dokąd? Podobno w Białostockiem są jakieś obozy dla akowców. A może do odgruzowywania Warszawy?

Przyszła kolej i na nas. Wyprowadzono nas na zewnątrz, gdzie stały kryte samochody. Posadzono nas w nich na podłodze,

twarzą do kierunku jazdy. Okrakiem braliśmy tego, który siedział przed nami. Chyba było nas ze dwudziestu w takim wozie. Z tyłu na burtach siedło dwóch bojców. Ruszyliśmy. Lublin znałem od małego, ale kiedy samochód wyjechał i zaczęło trząść, straciłem orientację. Konwojenci zakazali rozmów i rozglądania się, bo inaczej mieli użyć broni.

Kiedy zaczęło trząść samochodem, stuknąłem łokciem kolegę, by na umówiony znak prysnąć do tyłu, rzucić się na konwojentów i wyskoczyć. Zanim doszło do porozumienia między nami samochód wjechał na gładszą jezdnię, kręcił raz i drugi, i zatrzymał się. Po pewnym momencie otworzyła się brama i wjechaliśmy na dworzec kolejowy w Lublinie. Okazało się, że był to dworzec towarowy. Po wyładowywaniu nas na peron brali nas bodajże po dwóch do wagonu towarowego, gdzie nastąpiło dokładne przeszukanie wszystkiego co mieliśmy przy sobie. Rozebrali nas do bielizny, obmacali, wszystko niepotrzebne odrzucili na bok. A był to 24 stycznia, dosyć ostry mróz. Następnie boso, w bieliźnie, z ubraniem na rękę wróciliśmy na peron, by tam się ubrać.

Stojąc i czekając na peronie widzieliśmy jak przejeżdżały nowe samochody z ludźmi. Okazało się, że w tym dniu zwożono więźniów ze wszystkich więzień, z całego województwa lubelskiego, jak również z samego Lublina, ze wszystkich resortów (bodajże i z Zamku) i ładowano do wagonów, po 45 osób do każdego, po czym zamknięto je z zewnątrz. Długo czekaliśmy nie wiedząc co dalej będzie z nami. Ktoś nawet podsunął myśl, że pojedziemy na białe niedźwiedzie. Ale nam wydało się to niemożliwe. Przecież nie byliśmy zbrodniarzami.

24 stycznia, po kilku godzinach, pociąg wreszcie ruszył. Ale co ruszył to się zatrzymał i cofał dotyłu, tam i z powrotem. I tak było do brzasku. Ruszył dopiero wtedy gdy było widno i nikt z nas nie wiedział w jakim kierunku. Kiedy ujechał z kilometr, zobaczyliśmy napi

zobaczyliśmy napis - Lublin Północ. Jechaliśmy zatem na wschód. Wtedy każdy z nas zaczął szukać w pośpiechu skrawków papieru i ołówka. Ja znalazłem jakiś obrazek, pożyczyłem ołówka, napisałem krótkie słowa, podając adres, wyrzuciłem obrazek przez okno na przejeździe kolejowym, gdzie była większa szansa znalezienia go przez kogoś. To samo uczynili inni.

Kiedy stałem przy oknie usłyszałem strzały. Pociąg zaczął hamować. Zauważyłem dwie postacie, które biegły od toru, podrywając się i padając, do pobliskiego lasu. Na każdym wagonie w budkach byli bojcy i to oni zaczęli strzelać, a następnie pobiegli za zbiegami. Jak się okazało z sąsiedniego wagonu wyskoczyło czterech więźniów. Udało im się wyrwać deski w ścianie i przez ten otwór zbiec. Długo czas staliśmy. Wrócili ci, którzy pobiegli za zbiegami. Tym czterem udało się. Nie schwytano ich. Wszystko to rozegrało się ^{przed} pod Świdnikiem.

Kiedy pociąg ruszył w drogę zatrzymaliśmy się dopiero w Chełmie na posiłek, a potem znowu ruszyliśmy na wschód. Jeszcze mieliśmy nadzieję na ucieczkę. Ale nie mieliśmy twardego narzędzia, bez którego nie uchwyci się deski. Były za grube a kraty w oknach mocno osadzone. Na każdym postoju, począwszy od Chełma, sprawdzano każdy wagon z zewnątrz. Obstukiwano ściany i podłogi. Chodzili po wagonach, by sprawdzić czy nic nie jest naruszone. Szanse na ucieczkę stawały się coraz mniejsze.

W wagonie było 45 osób, dwie bele siana, piecyk pośrodku i trochę drzewa. Każdy z nas znalazł sobie przy ścianie jakieś legowisko. Szpary w wagonach poutykaliśmy początkowo sianem, które tam było. Ale kiedy brakło materiału do palenia palacze powyciągali ^{li} to siano ze szpar i pobierali śmiecie z podłogi ^{na skrzęty}. Dostało nam zimno. Z Lublina wyjechaliśmy w tym, w czym kto był. Byliśmy przemarznięci. Nie wydali nam ciepłej odzieży.

W czasie transportu do Rosji dostawaliśmy raz na dzień zupę rybną i kawałek chleba. Ponieważ ta zupa była bardzo słona dostawaliśmy na dzień dwa wiadra wody na wagon. Na 45 ludzi była to zaledwie kropla w morzu. Byliśmy tak spragnieni, że zbieraliśmy szron z metalowych okuć wagonu.

Po kilku dniach podróży dojechaliśmy na noc do Moskwy. Straszna wichura. Zatrzymano nas gdzieś na stacji towarowej. Staliśmy tam całą noc. Kiedy nad ranem ruszyliśmy to wydało nam się, że z powrotem do kraju. Ale to było złudzenie. Po słońcu zorientowaliśmy się, że jechaliśmy dalej na wschód. Po kilku dniach pociąg skręcił bardziej w lewo, przejechaliśmy przez miasto Kiziek i po kilkudziesięciu kilometrach pociąg zatrzymał się na stacji Nagornaja. Po trzynastu dniach pobytu w wagonach bez wody, bez mycia, bez golenia, brudni, zmizerowani, nie poznawaliśmy siebie.

Po wyprowadzeniu z wagonów ustawili nas w długą kolumnę, skierowali nas do znajdującego się w pobliżu obozu. Setki postaci z tobołkami pod pachą czy w ręku, pochylone do przodu, otoczone były konwojentami, na koniach lub pieszo z psami, którzy popędzając, krzyczeli "bystrzej, bystrzej!". W obozie wzięli nas poszczególnymi oddziałami do kąpieli, ubrania do "preżarki", a po kąpieli zwrócili ubrania. Tego wieczora nie było posiłku. Na spanie poszliśmy do nowych baraków, które zbudowali Niemcy. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka wszystkich Niemców Sowietci zatrzymali za drutami i polecili budować im baraki. Miały one charakter tymczasowy. Były zimne, bo zupełnie dziurawe. Miały ściany złożone z dwóch tak zwanych ścianek-desek, w środku których była trocina, która się uległa i wtedy porobiły się szpary. Od góry zaś było zupełnie ^{pusto} ~~uciekła na bok~~. Przez te szpary na nasze głowy wiał śnieg.

Przez najbliższe ^{dwa} tygodnie przygotowywali nas do pracy w kopalni. Postanowiono zrobić z nas "szachtiorów". Pod ziemią pracowa-

łem w kilku zawodach między innymi jako "kropilszczyk", "buri-
lszczyk", "szurowczyk", a nawet "otkaczyk". Najgorsza była pra-
ca zimą w miejscach, gdzie lało się na głowę. Kiedy wychodziło
się z kopalni to trzeba było czekać na wszystkich pozostałych ze
zmiany, którzy weszli do kopalni. Konwojent czekający na zewnątrz
dopiero wtedy odprowadził do umywalni, aż wszyscy się zjawili.
Nieraz to czekanie trwało długie minuty. Byliśmy przemoczeni na
wylot, a tu mróz nieraz do ponad 30 stopni. Potem biegiem, jeżeli
w ogóle można było zgiąć nogi w kolanach i w sztywnych ubraniach,
aby się trochę rozgrzać. Po bani znowu nakładaliśmy na siebie ~~te~~^{nasze}
~~te~~^{obozowe} mokre ubrania i udawaliśmy się do zimnego baraku na odpoczynek.

W tym obozie przebywaliśmy do stycznia 1946 r.. Nie objęło
to wszystkich. W grudniu 1945r. część z naszych powróciła do domu.
Stało się to w wigilię Bożego Narodzenia. Na kilkanaście dni wcze-
śniejci, którzy byli wcześniej wyczytani na podstawie specjalnej
listy, do pracy już nie wychodzili. Przygotowywali wagony stoją-
ce tuż za ogrodzeniem obozu, na stacji kolejowej, 23 grudnia wy-
prowadzono ich z obozu do wagonu. Pożegnaliśmy ich ze łzami w o-
czach, podając im jakieś pamiątki z nadzieją, że po powrocie do
kraju przekarzą im je naszym bliskim wraz z informacją, gdzie je-
steśmy. Na drugi dzień dołączono do nich także kilka wagonów z in-
nygb obozu i 24 grudnia, gdy szliśmy do kopalni na popołudniową
zmiianę na godzinę 16 (a zatem o wpół do trzeciej wyszliśmy z o-
bozu) zobaczyliśmy naszych kolegów wiwatujących z wagonów na na-
szą cześć.

Tej nocy przeżycia były tak osobliwe, że nie pracowaliśmy
wcale. Myśleliśmy o tych co odjechali. Poza tym była to przecież
wigilia Bożego Narodzenia. Popłakaliśmy się, pośpiewaliśmy so-
bie kolędy. Tak jak zawsze na każdej zmianie, czy to dziesiątnik
czy sam naczelnik kopalni przychodził i sprawdzał nas, by potem
pi

pisać raporty z naszej pracy i ilości wydobytego węgla, tak tej nocy nikt nie przyszedł na kontrolę.

Pod koniec stycznia 1946r. dwóch albo czterech konwojentów zabierało więźniów (z obozu według listy), których gdzieś wywożono. Przyszedł czas i na nas. 20-tu kilku i dwóch konwojentów wyruszyło pieszo z obozu do stacji wąskotorowej. Tu razem z konwojentami wprowadzono nas do wagonów osobowych. Dojechaliśmy do stacji szerokotorowej gdzie normalnym już pociągiem osobowym wraz z konwojentami dotarliśmy do Świerdłowska. Tutaj czekaliśmy przez półtorej doby, bo w kierunku dokąd nas konwojentowano, na razie nie było pociągu. Poprowadzono nas na zapasowy dworzec tam, gdzie podróżni oczekiwali przez dłuższy czas na dalszą swoją podróż. Było to gdzieś w śródmieściu, a poczekalnia mieściła się w byłej cerkwi. Zachowano wewnątrz malowidła, usuwając przedmioty. Tam konwojenci zrobili dla nas tak zwaną "zapretnozoną" czyli wydzielili pewien teren zastawiając go ławkami.

Po upływie półtorej doby pojechaliśmy w kierunku północno-wschodnim. Po kilku godzinach jazdy przyjechaliśmy do nowego obozu. Świerdłowsk leży już bodajże na granicy Europy i Azji, gdzieś w środkowym Uralu. Nas przewieźiono do obozu po drugiej stronie Uralu. Byliśmy w nim tylko około dwóch miesięcy. Dłuższy pobyt groził utratą życia tak ciężkie były tam warunki oraz praca. Polegała ona na oczyszczaniu przywiezionych ciągnikami z lasu dużych kłoców, a właściwie całych drzew. Naszym zadaniem było oczyścić je z gałęzi, przepiłkować i posegregować, a następnie powtaczać na odpowiednie stosy.

W ciągu dwóch miesięcy prawie wszyscy zapadli na kurzą ślepotę i wiele innych chorób. Więźniowie snuli się jak cienie. Pod koniec marca, a może w pierwszych dniach kwietnia, skierowali nas do innego obozu, którego nazwy niestety nie pamiętam. Znajdował

się w odległości stu, stu pięćdziesięciu kilometrów.

Kiedy doszliśmy do stacji pieszo konwojenci odeszli, by załatwić sprawy naszej dalszej podróży. Trwało to kilka godzin. Zapadła noc. Myśleliśmy, że poprowadzą nas do pociągu, a tym czasem poszliśmy dalej pieszo. Z powodu kurzej ślepoty trzymaliśmy się jeden drugiego. Po północy zatrzymali nas na krótki odpoczynek w walących się budynkach. Rano doszliśmy do obozu o nazwie Reż. Był to duży obóz.

Warunki w Reżu były znośniejsze. Był to obóz dla podreperowania nadszarpniętego zdrowia. Przywożono tutaj już szkielety ludzkie. Kiedy spotkaliśmy naszych kolegów, którzy z obozu z Nago-rnej przyjechali wprost do Reżu to po dwóch miesiącach rozłąki nie mogli nas poznać. Tak byliśmy wynędzniali i zmęczeni nocną podróżą.

Co do tej nocnej pieszej wędrówki to były przecieki, że konwojenci poszli na umowę z kolejarzami. Pieniądze, które mieli na bilety kolejowe podzielili między siebie, a nas przeprowadzili pieszo.

W Reżu przebywaliśmy od początku kwietnia gdzieś do połowy października 1946r. Podzielono nas na kategorie zdrowia. Pierwsza chodziła do pracy do miasteczka Reż (7 km od obozu). Inne grupy o słabszym zdr^owiu dostarczały do ob^ozu drzewo z lasu, jeszcze inni pracowali w obozie, a pozostali byli na zwolnieniu, była to tak zwana „oka”^(OK) czyli najniższa grupa zdr^owia.

Jak w każdym obozie tak i tu w sposób szczególny rozbudowana była administracja. Jeden z baraków przeznaczono na szpital. Przebywałem w nim przez około sześć tygodni. Po podleczeniu m^arzeniem wszystkich było pracować w kuchni. Przynajmniej zdawało się, (ale tak w rzeczywistości nie było) że tam będzie można zaspokoić głód. Również ja przez kilka dni byłem pomocnikiem

w kuchni. Potem przydzielono mnie do grupy roboczej. Chodziliśmy do pracy w miasteczku Reż (7 km pieszo w jedną stronę, teren górzysty).

Prace były różne: remontowe, budowlane czy budowa kolejki. Tam spotkałem młodego Żyda z Lublina. Jego ojciec miał sklep bławatny przy ul. Lubartowskiej. Uciekli przed Niemcami do Związku Radzieckiego, aż na Ural. Było ich tam (Żydów) dużo więcej. Powiedział mi, że mają wrócić do "naszej kochanej ojczyzny Polski". Po pewnym czasie okazało się, że pojechali.

Pobyt w Reżu był dla nas odpoczynkiem. Trochę nabraliśmy sił. Ale też przeżyliśmy tutaj to, że jesteśmy żywym towarem wystawionym na sprzedaż. Pewnego dnia, gdzieś późną jesienią, wyprowadzono nas na plac, ustawiono w szeregi. Przed nami zaczęli przechodzić jacyś panowie. Umundurowani i cywile (jacyś dyrektorzy różnych kopalni), którzy przyjechali wybrać sobie ludzi do pracy. Jak to wyglądało? Podchodzili do pierwszego szeregu, oglądali i obracali każdego, zaglądając w zęby, oczy, macali czy ma na czym siedzieć. Najważniejsze było czy zdrowy. Tych, których kupili odsuwali na bok. My z dalszych szeregów myśleliśmy o tym co zrobić, aby nie zostać wybranym. Każdy z nas wciągał policzki, przewracał oczami, aby zrobić jak najgorsze wrażenie.

Wybrano wtedy pokaźną ilość. Dużo z nich pojechało do kopalni niedaleko położonych, w których praca odbywała się w straszliwych warunkach. Wyjechał wtedy także i już nie wrócił Jan Kołaczkowski, ziemianin spod Lublina, który od dłuższego czasu nie był zdrowy. Często chodził do lekarza, miewał stany podgorączkowe. Stale występowały mu rumieńce na twarzy, które chyba go zgubiły. Mogły ujść za oznakę zdrowia.

Natomiast nas z obozu w Reżu przewieziono w październiku

1946r. do kolejnego obozu, gdzieś niedaleko miasteczka Niżnyj Tagieł. Nazwa utkwiała mi w pamięci, bo niektórzy mówili, że w pobliżu tego miasta jest kilka cmentarzy Polaków, którzy zostali tu zesłani po powstaniach.

Umieszczono nas w obozie Chudiakowo. Był śnieg, zima w pełni. Miliśmy pracować w lesie. Była to tak zwana "lesopowalka". Dali nam krótkie kożuchy, cieplejsze spodnie, dziurawe ale watowane, do tego jakieś walonki. Do końca pobytu w tym obozie (do października 1947r.) pracowaliśmy w lesie, z krótkimi przerwami, kiedy to brali nas do innych robót.

Praca w lesie zimą była szczególnie ciężka. Obowiązywała stała norma, a do tego trzeba było jeszcze odwalać śnieg, który nieraz sięgał do pasa. Po spiłowaniu drzewa, aby się dostać do gałęzi należało znowu odwalić śnieg dookoła kloca, by następnie obciąć gałęzie i pościągać je. Całe szczęście, że można było palić i ogrzać się przy ogniskach. W lesie pracowały też kobiety. Była jedna brygada kobiet, która miała do wykonania mniejszą normę. Wśród kobiet jako tych mniej obeznanych z warunkami pracy zdarzały się przypadki kalectwa.

Późną wiosną, kiedy śniegi stopniały i było dużo wody w lesie (teren tam był jakiś nieprzepuszczalny, bagnisty, stąd ta woda długo stała i nie wsiąkała) dano nam nieco inną pracę do wykonania. Z lasu należało wynosić odpowiedniej długości (2,5 m) kłoc drewna i układać je w stosy. Było to tak zwane drzewo zapalczone. Wynoszenie było mordercze, bo trzeba było drzewo wyciągać z bagie. Taki kloc brało się we dwójkę na ramię i idąc przeskakiwało się z kępy na kępę po tych bagnach. Nie zawsze stanęło się dobrze wtedy kloc przywalił. Trzeba było się spod tego kloca później wydo-
stawać. Norma była wysoka. Przed zakończeniem pracy przychodził dziesiętnik i obmierzał. Kiedy nie było normy, nie było chleba. A chleb był podstawą naszego wyżywienia.

W obozach spośród różnych narodowości najwięcej było Polaków, potem Ukraińców, a w dalszych obozach również Niemców. Polacy na ogół trzymali się dobrze. Były przypadki, że kiedy któryś z naszych otrzymał stanowisko w obozie, powiedzmy został komendantem czy pracował w jakimś warsztacie, w kancelarii, miał zatem jakieś możliwości, to taki ktoś bał się protegować kogoś ze swoich. Obawiał się utraty stanowiska.

Zupełnie inaczej było z Niemcami. Tworzyli między sobą jedność. Byli bardziej energiczni, tacy narzucający się. Kiedy kierownikiem kuchni został Niemiec, prawdopodobnie oficer, (nazywał się Moser) potrafił tak tym pokierować, że w niedługim czasie cały personel kuchni składał się z Niemców. Z kolei, kiedy w innym obozie pomocnikiem lekarza został Niemiec (w każdym niemal obozie byli głównie lekarze sowieccy) wkrótce cała obsada szpitalika (a pamiętam to dobrze, bo w tym czasie byłem w szpitalu) była niemiecka.

Podobnie było z Ukraińcami, którzy tak jak Niemcy trzymali między sobą. Kiedy przychodzili do nas wieści o wracających do naszego kraju transportach Polaków to wtenczas Ukraińcy zbliżali się do nas. Wtedy chętnie z nami rozmawiali, niektórzy z nich mówili, że nie są Ukraińcami tylko Polakami, którzy wśród nich żyli. Natomiast w sytuacji kiedy podobno Ukraińcy mieli jechać, to wtedy szybko odseparowali się od nas. Już nie rozmawiali z nami po polsku.

Gospodarze obozu Sowietci traktowali Polaków gorzej aniżeli inne nacje, przede wszystkim Ukraińców i Niemców. Ukraińcom w ogóle udawało się znaleźć wspólny język z Sowietami. Taki jeden charakterystyczny przypadek. W jednym z obozów dostarczaliśmy z lasu drzewo do kuchni w obozie i do opalania naszych baraków. Po pracy w lesie wracaliśmy zmęczeni do obozu. Każdy z nas dźwigał klocek drzewa, a komendant konwoju zaczął domagać się od nas, żebyśmy śpiewali. Zbuntowaliśmy się. Byliśmy bardzo zmęczeni. A on napierał,

żeby śpiewać, Gdy doszliśmy wreszcie do obozu komendant zatrzymał nas przed bramą, przez którą wchodziło się do obozu. Był wśród nas jeden Niemiec, który jedyny spośród nas ubrany był w mundur wojskowy (w pewnych okresach, w pewnych obozach wszyscy nosiliśmy niemieckie garnitury wojskowe). Podszedł do niego komendant obozu i pyta - "Ty, Germaniec?". "Ja wohl"- mówi. Kazał mu wystąpić z szeregu, a nam z tym drzewem biegiem wzdłuż ogrodzenia obozu (a było po deszczu, ślisko, przewracaliśmy się) tam i z powrotem. - "oOt'przekłęte Poliaczki" - powiedział.

W jednym z obozów obok tych podstawowych nacji było dwóch Greków i jeden Włoch o nazwisku Manzini (był to nieszczęśliwy człowiek który trzymał z Polakami, mówił słabo po rosyjsku, stale chorował, miał czyraki z przeziębienia i wiecznie chodził zabandażowany). Jeśli chodzi o Greków to jeden był oficerem, a drugi zwykłym człowiekiem. Z oficerem który znał dobrze rosyjski, zapoznaliśmy się bliżej. Powiedział, że u nich w armii specjalnie uczono tego języka. Często z nami, Polakami, przebywał i rozmawiał. Natomiast z tym swoim rodakiem żył jak ten przysłowiowy pies z kotem. Stale się między sobą kłócili. O co im chodziło.

Co do opieki lekarskiej, jeżeli chodzi o ten drugi obóz, którego nazwy nie pamiętam, to nie było w ogóle lekarza. Całe szczęście, że byliśmy tam tylko około dwóch miesięcy. W innych obozach był zasadniczo jakiś felczer, a lekarzem był ktoś spośród naszych. Pamiętam m.in. doktora Bieleckiego, bardzo dobrego człowieka. Chciał nam pomagać, ale nie miał za dużych możliwości. Leków prawie żadnych nie było poza aspiryną czy jodyną do zagojenia rany, były termometry. Sowietci chcieli jak najmniejszym nakładem kosztów jak najbardziej nas wyeksploatować. Tu taka dygresja. Bodajże w Nagornej przy wyjściu z obozu nad bramą w języku polskim był duży napis : " Pracując w Związku Radzieckim, pracujesz dla swojej ojczyzny".

Odczytywaliśmy to jako szyderstwo. Jedynie w trzecim obozie, w Reżu, pod tym względem było lepiej. W jednym baraku był szpital. Chociaż trudno to było nazwać szpitalem. Tylko tyle, że nie chodziło się do pracy, że codziennie przychodził lekarz i badał, że cztery razy na dzień były posiłki, ale bardzo skromne i niewiele bardziej kaloryczne od normalnych.

W obozach nie było dużej śmiertelności chociaż z Lublina do obozu jechaliśmy w trudnych warunkach, w drodze zachorował nam tylko jeden chłopiec. Okazało się, że był chory na gruźlicę. Była to pierwsza śmiertelna ofiara w obozie w Nagornoj, chyba w lipcu 1945r. Był to jedyny przypadek kiedy władze obozowe pozwoliły na odprawienie ceremonii pogrzebowej. Był ksiądz, ja miałem^m vszalik. Pozwolili zrobić trumnę z nieheblowanych desek. Mnie i niejakiemu Mroczkowskiemu z Kasimierza nad Wisłą przypadło wykopanie mogiły. Poszliśmy z konwojentem kopać ją w lasku. Była to pierwsza mogiła. Kopanie trwało kilka godzin. Gleba była bardzo spoista i twarda (głina przemieszana z kamieniami). Udało się wykopać niewiele więcej niż z pół metra. Trumna została tylko przykryta tą ziemią.

W godzinach popołudniowych władze obozowe pozwoliły księdzu odpawić krótkie nabożeństwo. Odśpiewaliśmy pieśni. Kto tylko mógł wyległ na plac, ale za trumną poszli tylko z księdzem czterej ~~z~~ konwojenci.

Przy kolejnych przypadkach śmiertelnych wszystko odbywało się już cichaczem. Nie wiedzieliśmy kiedy, kto, jak. Pewne jest, że trumien nie robiono, a czy owijano w coś ciało to tego nie wiadomo. Nocą wywożono i grzebano te zwłoki. Ale my nie mieliśmy pewności co robili z tymi ciałami zmarłych.

Prze cały okres pobytu w obozach byliśmy nastawieni na przetrwanie za wszelką cenę. Musieliśmy tak rozłożyć swoje siły, aby zachować je trochę do ewentualnego powrotu. Podstawą było wy-

żywienie. Stosunkowo najlepsze było w pierwszym obozie, w Wagonnej dla tych, którzy pracowali w trudnych warunkach, w kopalni. Dostawaliśmy tak jak wszyscy pozostali po kilogramie chleba, zupełną kawę rano i wieczorem, a oprócz tego tak zwany suchy pajok. Polegało to na tym, że można było w kantynie wykupić sobie jeszcze pewne produkty. Dostawaliśmy po parę rubli miesięcznie.

Rano dostawaliśmy chleb i kawę niesłodzoną, na obiad tak zwaną "bakandę" i drugie danie, z tego samego tylko, że gęściejsze a na wieczór kawę niesłodzoną. Do bakandy, żeby była gęściejsza kruszyliśmy suche liście. Przez jakiś czas dawali nam po parę dekagramów cukru i tłuszczu. Masła nie było tylko taki tłuszcz amerykański z puszek, "Swinaja tuszonka" czy coś podobnego, ale tylko dla tych, którzy wyrabiali normę. W innych obozach gorzej było z wyżywieniem. Chleba było mało, był ciężki i niewypieczony. Byliśmy zawsze głodni. Kiedy na bbiad otrzymywaliśmy rybę to byli tacy, którzy chodzili pod stołami i zbierali przeżute ości, które jedli, albo szukali po śmietnikach. A w przypadku, gdy coś tam zanęzli, kładli do puszki na ogień, ^{gotowali} i potem jedli. Chodząc do pracy w lesie, wiosną wyszukiwaliśmy cebulki roślin i na surowo to jedliśmy.

Latem dokuczały insekty, pluskwy, a w ostatnim obozie straszliwe komary. Przed nimi na noc chowaliśmy się do sienników (trochę siana, jakie w nich było dawno już się wytarło) i zamykaliśmy tak zwany szypuł. Duszno było, ale przed komarami człowiek się uchronił. Pluskwy i wszy były w każdym obozie.

Obóz otoczony był parkanem z desek. Oprócz tego po jednej i drugiej stronie ogrodzenia pozostawiono pusty plac grabiony często, aby widoczne były ślady. Powyżej tego parkanu, górą przeciągnięte były druty kolczaste. Co jakiś czas stały tak zwane "wyżki", na których dzień i noc strażnicy pilnowali więźniów.

Z obozu były próby ucieczki, ale nieudane. Jedyne ucieczka Kwiatkowskiego z Lublina, który zbiegł z pierwszego obozu, z Nagornoj, w czasie sianokosów (chyba w czerwcu) sam jeden. Dotarł aż do Brześcia i tutaj przy przeprawie przez Bug został schwytany. A dlaczego? Spotkał się z kimś kto także chciał się przedostać przez rzekę i dobrze znał teren. Okazało się, że to był szpicel, który zaprowadził Kwiatkowskiego na posterunek sowiecki. Przywieźli go z powrotem.

Także w czasie sianokosów (kiedy wywożono w pole na sianokosy) uciekło z kolei trzech, którzy natknęli się na strażnika leśnego. Zaczęli uciekać, jednego postrzelił, drugi sam się poddał.

Najliczniejsza ucieczka (około siedem osób) z pierwszego obozu miała miejsce w czasie roztopów (to znaczy kiedy pod śniegiem była woda). Po kilku dniach sami zgłosili się na posterunek, gdzieś na stacji. Byli całkowicie przemoczeni, w tym śniegi i tej wodzie, bez żadnych butów, gdzieś z kołchozu ukradli kozę, za którą później mieli ich sądzić, bo ukradli mienie państwowe. Przywieźli ich z powrotem do obozu po to, żeby ich pokazać i przewieźli potem gdzie indziej.

Z obozu nie można było przesłać żadnej wiadomości do domu i otrzymać z domu. Niemcom tym, którzy pochodzili z Reichu pozwolono jeden raz napisać. Wysłali listy, ale czy otrzymali odpowiedzi na nie, tego nie wiadomo.

Od wczesnej wiosny 1946r. z naszego obozu rozpoczęto wywożenie więźniów poszczególnych narodowości. Najwięcej było Rumunów. Oni pojechali później. Wcześniej pojechali Austriacy i Węgrzy. Bodajże w lipcu albo sierpniu w czasie naszej pracy w lesie przyjechał jeden z konwojentów z obozu i przez naszego komendanta, który nas przyprowadził do pracy, ściągnięto nas do obozu. Tu dowiedzieliśmy się o komisji, która przyjechała, żeby przygotować Polaków do wyjazdu. Ale w nocy nic się nie zdarzyło, a nazajutrz wyprowadzono nas jak zwykle do pracy. Trwało to do początków października, kiedy znów się powtórzyła sytuacja sprzed kilku miesięcy. Z obozu przyjechał jeden z gońców aby ściągnąć nas z lasu.

W obozie wywożevano tylko Polaków. Uzupełniano dane, spisywano stan naszych ubrań cywilnych, kompletowano naszą odzież i bieliznę. Wszystko to odbyło się według listy, na której byli sami Polacy. Na liście pominięto jednego z naszych kolegów z lubelskiego transportu, który w takiej sytuacji miał pozostać w obozie. Nadal chodził normalnie do pracy w lesie w przeciwieństwie do nas. Różnymi drogami poprzez komendanta obozu i jego naczelnika, kancelarię, komisję, która sporządziła listy, stara się wyjaśnić to nieporozumienie. Mówił że jest Polakiem, że nie ma żadnych powiązań z Ukraińcami. Po wielu zabiegach wciągnięto go w końcu na tę listę. Ale tych kilka dni niepewności wystarczyło, żeby zmienić człowieka. Tak bardzo przeżył to, że wszyscy Polacy jadą, a on zostaje, aż zczerniał od tego na twarzy.

My zaś w tych dniach wykonywaliśmy następujące prace : przynosiliśmy drzewo do obzu porządkowaliśmy obóz i mieliśmy wolny czas. 20 października rano zaczęto nas kolejno, przez dyżurkę, wypuszczać na zewnątrz. Robili przy tym rewizję. Pamiętam dzień był piękny, słoneczny. Zgromadzono nas w pobliżu bramy wejściowej. Na drogę otrzymaliśmy suchy prowiant, bodajże po kilogramie chle-

ba, trochę suszonej ryby i w kawałkach łożu zwierzęcego.

W godzinach popołudniowych wyszedł do nas naczelnik obozu i wygłosił swoją ostatnią przemowę. Przytoczył tu kilka myśli z tej przemowy: "Przeżyliście tutaj na terenie Związku Radzieckiego jakiś czas. Wiem, że nie wszystko było jak należy, ale musicie zrozumieć była wojna stąd braki. Chcielibyśmy, aby^{ście} odjeżdżając od nas mieli~~ście~~ o nas dobre wyobrażenie. Nawet, jeżeli było coś złego, aby to nie wynosiło się poza nasz kraj. Powinnyście klękać i dziękować rosyjskiej ziemi, że was przyjęła na czas wojny, bo tam to nie wiadomo co mogło-by się z wami stać". (Przecież wzięli nas po wojnie, skąd więc ta troska o nas w czasie wojny).

Po przemowie wsiedliśmy do pociągu z drzewem, który odjeżdżał do stacji szerokotorowej. Tam przesiedliśmy się do podobnych wagonów w kierunku Swierdłowska. Jechaliśmy całą noc. Dopiero na drugi dzień przed południem byliśmy na miejscu. Tam zgupowano nas w punkcie, do którego zwożono więźniów z innych obozów. Podzielono nas na około 35-osobowe grupy. Po załadowaniu nas do wagonów towarowych z piecykiem powiedziano, że jedziemy w kierunku Moskwy. W tym miejscu należy zaznaczyć, że od pierwszego obozu w Nagornoj mieliśmy zapracowane ruble (ci, którzy wyrobili normę). Pracujący w cięższych warunkach dostawali po kilkadziesiąt rubli miesięcznie. Na miejscu wypłacali tylko po kilka rubli, a resztę obiecali dopłacić w momencie, gdy zostaniemy zwolnieni do domu. Kiedy to nastąpiło w Chudiakowie powiedzili, że nam je wypłacą w Swierdłowsku, w głównym punkcie zbornym. Tu z kolei powiedziano nam, że nastąpi to dopiero na granicy. Skończyło się na obietnicach. Zapracowanych rubli, jak również obiecanej przy zwalnianiu drugiej zmiany bielizny nigdy nie otrzymaliśmy.

Jechaliśmy w kierunku zachodnim. Pociąg był długi, ale konwojenci byli w oddzielnym wagonie, gdzieś blisko lokomotywy i kuchni.

Do nas nie zaglądano. Na poszczególnych postojach można było wyjść na bazar, coś kupić i zasięgnąć języka. Pamiętam przekroczenie Wołgi. Było to tak o zmroku w październiku. Jeszcze nie dojechaliśmy do Moskwy, jak zaczęła się zima. W Moskwie mieliśmy przygodę. Kiedy zatrzymano nas na stacji dworca towarowego, a ponieważ teraz byliśmy o wiele sprytniejsi, jak trzy lata temu, kiedy wieziono nas do obozu, poza tym nie pilnowano nas, bractwo rozbiegło się po stacji. Zaczęliśmy znosić ze stojących na stacji wagonów zmarznięte owoce, m.in. kawony oraz worki z mąką i cukrem. W końcu spostrzegli to strażnicy radzieccy i zaalarmowali naszych konwojentów. Mimo rewizji po wagonach udało nam się nieco z tych produktów ukryć dobrze. Konwojenci grozili sądem i pozostawieniem nas w Moskwie.

Ale po kilku godzinach, po sygnale ruszyliśmy w drogę. Dojechaliśmy do Brześcia nad Bugiem. Już wcześniej poznaliśmy, że jesteśmy w pobliżu Bugu, bo widać było nizinne tereny i jakieś szuwary. Ze stacji zabrali nas o dziwo za druty. Wiedzieliśmy, że S wietom nigdy nie można wierzyć. Tym bardziej, że po drodze, na postojach w rozmowach z "grażdanami", kiedy mówiliśmy im, że wracamy do domu, oni na to: "Co, do domu? To tak samo jak inni. Powieźli ich na Kaukaz. Szykujemy się do wojny z Amerykanami. I was na pewno tam powiozą". Okazało się, że wzięli nas do obozu na tak zwaną kwarantannę, przed przekroczeniem granicy. To był gdzieś 30. 31 października. Ogłoszono nam, że nazajutrz, 1 listopada, ksiądz Czesław Łupiński z diecezji łomżyńskiej, który był w naszym transporcie i obozie, odprawi dla tych, którzy będą chcieli wziąć udział, mszę świętą.

Na drugi dzień, 1 listopada, wcześniej niż zapowiadano, była pobudka z poleceniem, aby zabierać wszystkie "swoje wieszczki" i wychodzić. Mszy świętej nie było. Wyprowadzili nas na duży pla-

bodajże stadion. Nadszedł właśnie nowy transport ze Związku Radzieckiego, tak zwany "szalon", którego nie mieli gdzie podziąć. Musieliśmy im zrobić miejsce w obozie.

Po pewnym czasie na plac przyszło "naczalstwo" sowieckie i kilku wojskowych, Polaków. Cały dzień trwało przekazywanie nas władzom polskim. Odbywało się to przy dwóch różnych stolikach. Przy jednym siedzieli Sowieci, przy drugim Polacy. Kolejno wyczytywano nas z listy, sprawdzano nasze personalia. Po przekazaniu jeden z oficerów powitał nas w imieniu Polski i powiedział, że w pobliżu stacji w Brześciu stoją wagony, w których po 30-tu mieliśmy zająć miejsca i czekać. Dostaliśmy trochę suchego prowiantu.

Późną nocą ledwie ruszyliśmy okazało się, że jeszcze raz pociąg będzie sprawdzany. Szukano tych, którzy przy okazji tego transportu chcieli "przeszwarować się" ze wschodu na zachód. Trwało to dosyć długo. O północy pociąg ruszył. Kiedy wjechał na most na Bugu każdy z nas był wzruszony. Wszyscy zaczęliśmy śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła" i popłakaliśmy się. O brzasku dojechalismy do Terespoła. Na peronie czekały panie z Czerwonego Krzyża, które poczęstowały każdego z nas kwaterką gorącej zupy i dały po kawałku chleba. Kiedy dojechalismy do Białej Podlaskiejtu nastąpił koniec naszej podróży. Zakwaterowano nas w różnych miejscach : w szkołach i innych obiektach. Robili zdjęcia do wydania tymczasowych zaświadczeń (ja na przykład miałem jechać do Kraśnika zgodnie z tym, że każdy mógł na własną rękę jechać w kierunku jaki podał na zaświadczeniu). 3 listopada po południu zaświadczenia były gotowe. Rozdano nam jeszcze paczki z PUR-u, po dwie różne- jedna z owocami, druga ze słodyczami- na dwóch.

Kiedy dojechalismy do Lublina na placu przed dworcem zatrzymali nas Sowieci. Byli to ani wojskowi, ani cywile. Na pytanie : "Co wy za jedni?- odpowiedzieliśmy, że wracamy z obozu. Poprosili

o dokumenty, na co my pokazaliśmy zaświadczenia. Na kolejne pytanie : "Czego chcecie ?" - odparliśmy, że szukamy Czerwonego Krzyża. Odnaleźliśmy go na ulicy 1-go Maja, ale było już zamknięte. Wisiała kartka z informacją, że na Drodze Męczenników Majdanka jest punkt, który do późnych godzin nocnych jest czynny. Kiedy się tam zgłosiliśmy była kolacja więc z kolegą Bolesławem Bednarczykiem z sąsiedniej miejscowości, z Niedrzyicy, a właściwie z Bożechowa, gm. Nidrzwica, postanowiliśmy pojechać w nocy do domu towarowym pociągiem. Gdzieś przed północą dotarliśmy na miejsce. W miejscu jak się jedzie do Nidrzwicy, trochę dalej za Krężnicą, kiedy pociąg zwolnił (na tym odcinku miał pod górę) pożegnałem się z kolegą i wyskoczyłem. Następnie przez las wyszedłem na dom mojego szwagra, którego nie widziałem od 1939r. Poszedł wtedy na wojnę, a potem był w obozie jenieckim w Niemczech. Kiedy zapukałem w okno, wyszedł i dał znać do mojego domu, który był niedaleko. W domu okazało się, że wielokrotnie wyjeżdżali do Białej Podlaskiej, bo były sygnały że wracają transporty, ale bez skutku. Po kilku dniach pobytu w domu zgłosiłem się do seminarium. Musiałem robić dużą maturę, żeby przyjęto mnie do seminarium, które ukończyłem w 1952r. Wtedy zostałem wyświęcony na księdza

Ks. Józef Krak